

ELIZA POLKO.

# Z życia artysty

Piszą, iż lato w r. 1703 promieniało niezwykle w północnych Niemczech pogodą — miesiąc sierpień zupełnie był pozbawiony cech swoich; upływał wśród połysków słonecznych, wpleciony w tumany kurzu, które z całym przepychem i okazałością wznosiły się w powietrzu, wlokąc zielony, różowo obramowany ogon za sobą.

W dolinie rozciągniętej między Hamburgiem a Lubeką, podobnej do zmazanego studium akwareli jakiegoś dyletanta, przesunęło się coś zwolna po rozpalonym, bezdrzewnym prawie gościncu, słońce schowało się na chwilę za chmury, snąć było mu za gorąco, pojedynczo rozrzucone drzewa stały w sennej zadumie, jakby marzyły o o kroplach orzeźwiającego deszczu, płaki skryły się, chrząszcze wszystkie przywdziały jednakową liberyę, a duży szary przedmiot, poruszający się ślimakowato, był tak zwana kareta pocztowa, ciągniona dwoma siwymi kofimi, którymi również siwy, zaspany woźnica kierował. Niegdyś płomienny wóz wyglądał, jakby przybywał z czarodziejskiej krainy móli, gdzie, jak wiadomo, panuje kolor szary; w otwartych oknach igrały chmury prochu, goniąc się, by swawolne chłopcy, grający w łapankę tu i tam.

Wewnątrz owego wehikułu siedziało czterech mężczyzn; trzech z nich, pozbywszy się niektórych części swej garderoby, starało się rozsiąść jak najwygodniej, by tym sposobem złagodzić nieco przykre uczucie, wywołane nieznośnym upałem, który woi rozpalonych poduszek i skór potęgowała. Jeden tylko z pasażerów, po prawej stronie na przodzie siedzący, zupełnie był ubrany, nie rozluźnił nawet węzła białej chusiki na szyi, ale jednak zdjął perukę z długimi lokami i umocował ją do fordekla. Był to dwudziestodwuletni mężczyzna z twarzą więcej roztropną niż pociągającą, z białymi upiętymi rękami, które od czasu do czasu z godną podziwu cierpliwością i werwą strzępywały pyłek z papuziego surduta. Nazywał się Jan Mattheson, a był śpiewakiem z opery, kompozytorem i fortepianistą z Hamburga, a od niedawna nawet dobrze płatnym sekretarzem angielskiego rezydenta Jana von Wich.

Naprzeciw niego zajął miejsce paszteniak z Lubeki z dużym koszem, nakryty starannie białą chustą.

Obok siedział młodziutki chłopiec, protegowany śpiewaka, który dopiero przed paru tygodniami przybył z Halli do Hamburga w nadziei, iż gra na organach i nauka muzyki w wielkim mieście uzbiera sobie pewoli sumę, wystarczającą na odbycie podróży do Włoch, o której marzył, jak pragnący o odżywczym napoju. Nazwisko jego było: Jerzy Fryderyk Händel. Siedział wprawdzie w największym neglizie obok wspaniałego opiekuna, lecz nie można wyobrazić sobie nic piękniejszego nad tę smukłą silną postać młodzieńczą i to kwitnące oblicze z dużymi prześlicznymi oczyma, które w inny świat zdawały się spoglądać i z dumnymi ustami, uśmiechniętymi teraz właśnie po dziecinności. Vis-à-vis miał grubego handlarza gołębi z olbrzymią kłatką, pełną świegocących stworzonek, którymi bawił się młody Händel, a nawet z tkliwym współczuciem nakrył ich surdudem swoim, aby gorąco i kurz nazbyt im nie dokuczały. Podczas tego oczywiście rozmawiał z sąsiadem o podwójnych fugach, dziełach na organy, o kontrapunkcie, modulacji i aryach opery, o chórach i koncertach, tak, iż handlarz gołębi i paszteniak spoglądali na siebie trwożliwie przerażeni uczonością. Później artyści wyjęli papier i pisali o zakład popodwójne fugi na „da mente”, jak Mattheson twierdził „non da penna”.

Obydwaj dążyli do Lubeki, aby przedstawić się tam jako kandydaci na wakujące miejsce organisty przy kościele Panny Maryi. Sławny katedralny muzyk, uczone Buxtehude, miał ich ostro egzaminować. Posada była bardzo korzystna, lecz szczególny warunek do niej dołączono. Oto wybrany organista musiał się zobowiązać do zaślubienia pozostałej siostry zmarłego. O tej klauzuli oczywiście młody Händel nie wiedział nic zgola, opiekun zaś stał przed nim umyślnie. „Zobaczmy pierwę dziełeczke — myślał Mattheson — jeżeli ładna, obejmę miejsce; gdy brzyd-

ka — wówczas pomogę małemu do ustalenia się, a szczęście jej będzie zupełne”.

Nie zależało mu wcale na zatrzymaniu młodego Händla w Hamburgu, nieraz w skrytości zaczynał się obawiać jego współzawodnictwa. Głos młodzieńca w małych pariyach operowych brzmiał pełniej niż Matthesona; a gdy Jerzy Händel grał na organach, wszystkie miejsca w kościele były zajęte, tłoczono się do świątyni, niby na odpusć. Jako nauczyciela muzyki, rozrywano go formalnie, panny i panie chciały się uczyć tylko od pięknego przybysza. Ze śpiewaczkami trudno było przyjsć do ładu, gdy raz na próbie Händel zasadzony przez Matthesona, akompaniował na fortepianie, kokietałowy go bez końca, jakkolwiek on zdawał się nic nie słyszeć i nic nie spostrzegać. Nawet piękna córka rezydenta angielskiego raptem ku wielkiemu przerażeniu ojca zapragnęła uczyć się na skrzypcach, lecz nauczycielem musi być młody Händel — dodała. Słowem miasto Hamburg dla obydwóch razem było za szczupłe!

I tu w pocztowej karecie Mattheson musiał się przekonać, że „mały” serca szturmem zdobywa. Paszteniak, który podczas jazdy z dumą dał się poznać jako zastępca i pomocnik kalikującego na organach jedynie z miłości dla muzyki, fraktował go ciągle ciastkami i nadmienił wyraźnie, iż jest gotów poświęcić mu usługi swoje w kościele Najświętszej Maryi Panny. Przy zawarciu owego związku przyjaźni Mattheson zachował się neutralnie; z powodu kilku silnych wstrząśnień pocztowej karety peruka jego spadła z fordekla w sam środek pulchnych paszteniaków, zmuszony więc był mimo gorąca ze złością włożyć ją na głowę. Chętnie byłby się zapytał o siostrę organisty, lecz powstrzymywała go obawa, iż wówczas ów ukrywany warunek na jaw wyjść może.

Później zdarzyło się nawet, że Händel zmorzony snem, uderzył silnie głową o kłatkę i wyrwał kilka szczebli, wskutek czego trzem gołębom umknąć się udało. Ale nie powiedziano mu ani słówka. Grubas westchnął tylko, patrząc na wyzwoleńców mruknął: „Na was nie można się gniewać, nie wiem czemu, każdy inny drogo musiałby mi za to zapłacić”.

Wreszcie po kilku godzinach uciążliwej jazdy przybyli do starego grodu nad Trawą.

\* \* \*

Ogniste promienie zachodzącego słońca przeciskały się przez pstrę okienka i napelniały stary kościół Panny Maryi w Lubecie cudownym światłem. Odbicie tegoż drżało na cichych pomnikach i skakało po wyobrażonych na nich w tańcu umarłych postaciach. Organy, na których Mattheson wykonywał swe sztuczne fugi, leżały już w pomroku. Lecz drugie, przeznaczone dla młodego Händla, były oblane różowym blaskiem, a głowa siedzącego przed niemi młodzieńca z odgarniętymi ze skroni kasztanowatymi włosami, wydawała się jakby otoczona złocistą aureolą. Obok niego, z uśmiechem pełnym zaufania i rzekomo z gotowością do walki rękami stał lubiący muzykę paszteniak, szeptał:

— Pobijemy tamtego, pobijemy z kretelem.

A na dole w świątyni, by zbite razem tumanami prochu usiedli uczeni panowie, pasiorowie i śpiewacy z sławnym Buxtehude na czele sędzić zdolność artystów. Podczas gry Matthesona kiwali głowami z upodobaniem, lecz poważnie, tak, że zaledwie atom pyłku ulotnił się z ich olbrzymich pudrowanych peruk. Artysta widocznie znalazł łaskę u nich.

W bocznym kierunku tej grupy, w ławce pod chórem siedziały dwie kobiety w żalobie nieopodal Matthesona. Jedna z nich wysoka, sztywna z energiczną postawą, wychylała się czasami naprzód, a światło z okna leżącego naprzeciw prosto padało jej w twarz, przypominając kolorytem i rysami twarde nieruchome oblicze świętych ze starych rzeźb. Czepek żalobny z ostrym zębem nad czołem, wysoka kryza podpierająca podbródek śpiczasty, dodawały jej głowie więcej jeszcze surowości i powagi. Obok niej trochę w tył zasunięta prześliczna twarz dziewczęca wyglądała w świetle jak główka aniołka wymalowana na tle złocistym. Była to kwitnąca twarzyczka staro-niemiecka obramowana zwojami jasnych włosów. Niebieskie oczy, delikatne usta i najpiękniejsza figura uzupełniały całość.

— Czy on wam się podoba kuzynko? — spytała cichutko.

— Tak — to człowiek mojej myśli.

— Widzieliście go dobrze?

— Cóż mnie obchodził twarz jego — grał jak święty.

— Ach! mnie wydaje się tak brzydkim i dreszcz przebiegł jej członki. Sądziacie, że on go wybiorą?

I piękne oczy bojaźliwie prześlizgnęły się po długich perukach i wzbijającym się z nich obłoku pudru.

— Pewnie! Gdy ów drugi nie będzie grał jak anioł.

— Ale tego pierwszego my nie chcemy kuzynko!

W poparciu słów delikatne usta zacisnęły się tak silnie, jak gdy ich właścicielka przeciwcalemu światu do walki stanąć była gotowa.

— Jak ten drugi wyglądać może!

— Nie pytaj o to, dziecię — to rzeczy przemijające, uważaj raczej jak grać będzie.

W tej chwili pierwszy ton wzbili się z organów do góry, szmer niebiański zapelił powietrze. Jerzy Händel grał. Świeże strumienie światła zalewały poświęcone miejsce. W wszystkie kąty cisnęła się woń wiosenna. Nigdzie nie było cienia; w serca obecnych wiało uczucie podobne do rajskej szczęśliwości, a ręce składały się mimowoli. Pomarszczone czoła rozpogadzały się, na zacisnięte usta występował uśmiech młodości i zadowolenia, oczy, które od dawna plakać się oduczyły, połyskiwały łzami. Lecz nie organy to brzmiały, nie organy; z wszech stron płynęły tony, szumiły i szeleściły w cudowną harmonii z siłą i subtelnością, z wspaniałością i wdziękiem jak śpiew chórów niebieskich i serafów.

Szare grono sędziowskie nie siedziało już w martwej nieruchomości jak przedtem, poważni mężowie pochylili się ku sobie, gdy przebrzmiał ton ostatni, by szczęśliwie, obdarowane dzieci. Rozmawiali żywo, wzajem podchwytywali słowa, obcierali sobie oczy, oddychali głęboko, spoglądali wokół jasno i swobodnie, szczególna zaszła w nich odmiana.

Obydwie kobiety powstały także, ale tylko starsza wyszła z ławki, towarzysza jej klęczała na ziemi, a oparłszy głowę o pulpit śmiała się i płakała zarazem.

— O, kuzynko, on tędy będzie przechodził, a ja przecie nie mogę mu rąk ucałować, a jednak uwielbiam go, choćby tysiąc razy był brzydszy niż tamtem! Kuzynko, powiedz mu to odemnie!

Kuzynka uspokajająco położyła rękę na młodej głowie i odeszła.

W tej właśnie chwili stary kościelny mówił do Matthesona:

— Chcecie widzieć pozostałość po zmarłym, tam są siostry kantora, patrzenie wysoka duża kobieta to starsza, a za nią piękna blondynka ta, którą nowy organista ma poślubić.

Chciał dodać więcej, lecz raptem powstała ciżba: młody artysta schodził po schodach, taki młody, piękny, skromny, a przecie spokojny i pewny siebie z blaskiem natchnienia w oczach dużych, z pierwszym promieniem owej gloryi na myślacem czołe, która potem skroń twórcy Mesyady („Messyasza”) oblec miała. Otoczono go kołem, sławny Buxtehude przecisnął się przez tłumy, rzucił się młodemu Händlowi na szyję i ucałował go w obydwie policzki ze łzami w oczach.

— Do wielkich rzeczy wybranym jesteście mój synu! — zawołał z entuzjazmem. Sztuką waszą zdobędziecie serca ludów i przyprowadzicie je do dawnej wiary, jak niegdyś święci malarze pobożnymi obrazami nawracali ludzi na dobrą drogę. Przemawialiście do nas tam z góry, by zwiastun wiecznej siły i wspaniałości podsluchujący muzykantów niebieskich. Powiedźcie mi jednak, jeżeli nie jesteście prorokiem, gdzie w waszych latach nauczyliście się tej gry cudownej?

I jeden za drugim zbliżał się, aby młodemu Händlowi dłoń uściskać, żeby przemówić doń, pochwalić i podziękować; z trudnością artysta mógł się między nimi poruszać, zwolna też postępował dalej, aż nagle zatrzymał się przed dużą kobietą, której twarz ciemna zwróciła się ku niemu. Odbłyśk uśmiechu zaigrał na jej ustach gdy rzekła:

— Siostra zmarłego organisty, który tam grywał na górze chciałaby wam podziękować!

Wiem Jerzego Händla popchnięto ku wyjściu; nie widział już malej śnieżnej i pulchnej rączki dziewczęcej, która z za żalobnych fałdów dużej kobiety wyciągnęła się do niego, ani natchnionego spojrzenia, które z pięknych łzawych ocz dzie-